

Temat tygodnia

WYBORY
W USA

- 10 Andrzej Lubowski
Co się stało z Ameryką
- 13 Marek Ostrowski
Tomasz Zalewski
Co się stanie ze światem

Polityka

- 16 Piotr Pytlakowski
Dubieniecki story
- 20 Anna Dąbrowska
Kim są sędziowie, którzy bojkotują prace TK
- 23 Rozmowa Jacka Żakowskiego z **Piotrem Frączakiem** o atakach na organizacje pozarządowe

Społeczeństwo

- 26 Ewa Wilk
Zagrożenia psychiczne są zaraźliwe
- 30 Jak sądy zmieniają podejście do kredytów we frankach, opowiada prawniczka **Barbara Garlacz**
- 32 Piotr Pytlakowski
Wątpliwy dowód z DNA
- 34 Ewa Wilk
Koniec Polski według humanistów
- 37 Joanna Podgórska
O katolikach, którzy przeszli na protestantyzm

Rynek

- 40 Adam Grzeszak
Dlaczego giganci motoryzacji chcą u nas inwestować
- 44 Cezary Kowanda
Łódź–Warszawa: kolejowa droga przez mękę

Świat

- 52 Rozmowa z **Jacksonem Diehlem**, czołowym komentatorem „Washington Post”, o powyborczym szoku w USA
- 55 Agnieszka Zagner SYRIA
Aleppo: miasto podzielone
- 58 Ziemowit Szczerek LITWA
Neopoganin u władzy
- 60 Łukasz Wójcik TURCJA
Wojna o Hagie Sophie



Ameryka chora na Trumpa



Wzlot i upadek Marcina D.



Uwaga, psychowirusy!



Motoinwazja na Polskę

Historia

- 62 Jerzy Besala
200 lat temu powstał Uniwersytet Warszawski
- 66 Zbigniew Rokita
Jurij Lewitan – głos Stalina

Nauka

- 70 Bartosz Nowacki
Od migracji do innowacji
- 73 TECHNOECHO
- 74 Dr inż. **Urszula Stachewicz**, laureatka Nagrody Naukowej POLITYKI, o pożytkach z nanotechnologii

Kultura

- 80 Piotr Sarzyński
Co łączy malarstwo polskie i węgierskie
- 84 Bartek Chaciński
Cohen – już tylko nagrania
- 86 Marcin Piątek
Metallica rządzi i dzieli
- 89 KAWIARNIA LITERACKA
Grażyna Plebanek
- 90 Rozmowa z reżyserem **Piotrem Dumałą** o śmierci, Kafce, polityce i nowym filmie „Elderly”
- 93 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

- 94 Aleksandra Żelazińska
Stronniczy Facebook?
- 98 Mariusz Herma
Czy świat jest lepszy, niż myślimy

Na własne oczy

- 108 Olga Gitkiewicz
fotografie Michała Łuczaka
Drugie życie kolei wąskotorowej

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia • 76 Afisz
- 102 Passent • 104 Stomma
- 105 Tym • 106 Do i od redakcji
- 107 Fusy, plusy i minusy
- 114 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

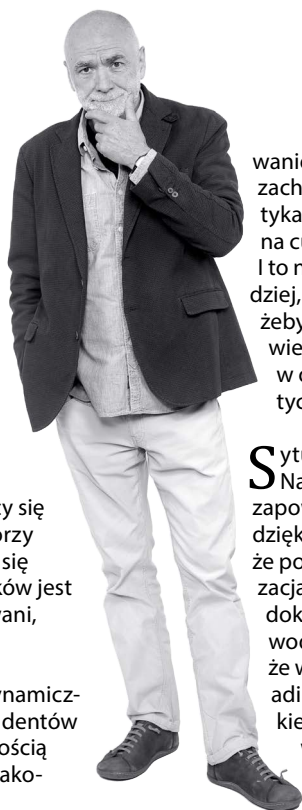
Repolonizacja studentów

Polskie uczelnie zajmują niskie miejsca w światowych rankingach, ale w niektórych dziedzinach stoją na niezłym poziomie. Z informacji zaprezentowanych podczas Narodowego Kongresu Nauki wynika np., że liczba ksenofobicznych i rasistowskich ataków na zagranicznych studentów osiągnęła – w przeliczeniu na jednego studiującego u nas obcokrajowca – poziom plasujący nasze uczelnie w ścisłej europejskiej czołówce. Chociaż bici i obrażani są studenci różnych kierunków i specjalizacji, a także rozmaitych ras i narodowości, zdaniem specjalistów ofiary ataków można podzielić na dwie zasadnicze grupy. Do pierwszej należą ofiary posiadające typowo niepolski wygląd charakteryzujący się ciemnym kolorem skóry. Drugą stanowią Ukraińcy, którzy z wyglądu pozornie przypominają Polaków, ale różnią się tym, że płacą za studia, co w opinii prawdziwych Polaków jest niesprawiedliwe, gdyż są przez uczelnie lepiej traktowani, a poza tym ciekawe, skąd mają pieniądze?

Mówi się, że wzrost liczby ataków byłby bardziej dynamiczny, gdyby nie to, że wszystkich zagranicznych studentów jest w Polsce zaledwie 57 tys., co napastnikom z pewnością utrudnia atakowanie ich tak często, jak by chcieli. Zaatakowanie

cudzoziemca na renomowanej amerykańskiej czy zachodnioeuropejskiej uczelni nie jest problemem, bo spotyka się go tam na każdym kroku, podczas gdy trafienie na cudzoziemca na polskiej uczelni wymaga zachodu. I to nie tylko dlatego, że występują oni u nas o wiele rzadziej, ale również dlatego, że polskie uczelnie zalecają im, żeby dla własnego bezpieczeństwa nie opuszczali pokoi wieczorami, w niektóre święta państwowe, a najlepiej w ogóle, co powoduje, że namierzenie i zaatakowanie tych studentów bywa trudne.

Sytuacja ta ma się wkrótce poprawić, gdyż Ministerstwo Nauki w ramach umiędzynarodowiania polskich uczelni zapowiada ściągnięcie kolejnych studentów z zagranicy, dzięki czemu będzie ich można łatwiej spotkać. Z tym że politycy obozu rządzącego są raczej za dalszą repolonizacją uczelni, dlatego np. z satysfakcją przyjęli wydalenie doktoranta UJ, który był narodowości irackiej i z tego powodu zagrażał naszemu bezpieczeństwu. Panuje opinia, że wydalenie obcych rasowo i kulturowo doktorantów, adiunktów czy profesorów, może doprowadzić do szybkiej repolonizacji nie tylko szkół wyższych, ale i szerzonej w tych szkołach nauki, która w opinii wielu osób ma za mało narodowy charakter.



NAJWYŻSZY STOPIEŃ KAWOWEJ EWOLUCJI

OD NESCAFÉ® DOLCE GUSTO®



Nowy ekspres NESCAFÉ® Dolce Gusto® to zaawansowana technologia i nowoczesny design inspirowany ziarnem kawy.

Delektuj się intensywnym smakiem kawy o najwyższej jakości i zaskakującym wyglądem ekspresu.

Więcej informacji na stronie www.dolce-gusto.pl.

OTWÓRZ
I ZAMKNIJ



DOTKNIJ I WYBIERZ
ILOŚĆ WODY



KAWA JAK
Z KAWIARNI



INTELIGENTNE
KAPSUŁKI



Kup książkę

RÓŻNORODNOŚĆ
SMAKÓW



KAWA NIE MUSI BYĆ
WYŁĄCZNIE CZARNA

Nowy trumpowski świat



Jerzy Baczyński

Będziemy musieli się przystosować do prezydentury Donalda Trumpa, choć wciąż nie wiadomo do czego. W większości krajów, Ameryki nie wyłączając, reakcje na wynik wyborów prezydenckich w USA były podobne: zaskoczenie, szok, niewiara. Wszędzie odbywa się dziś mentalna obróbka fenomenu Trumpa. Trwa wróżenie z kampanijnych sloganów. Miło zresztą patrzeć, jak Zachód dodaje sobie otuchy, cieszy się z każdej umiarkowanej wypowiedzi elekta. Giełdy już odreagowały pierwszy strach i teraz oczekują, że – kto wie – może Trump jednak podkreśli amerykańską gospodarkę? W tzw. klasie politycznej, po obu stronach Atlantyku, w parę dni po wyborach dominują deklaracje, że przecież to nie koniec świata, że nowego prezydenta ograniczy i ochroni przed szaleństwami własna partia, generałowie, gubernatorzy, biznes, sojusznicy i wrogowie; że Trump to żaden ideolog, tylko człowiek interesu, z którym da się dogadać. To oficjalna wykładnia, ale prywatnie dominuje lęk przed nieprzewidywalnym i nieobliczalnym, strach, że nawet niechcący prezydent USA może sprowokować konflikty rasowe, nową falę terroryzmu, wojny handlowe, aż do zbrojnej konfrontacji mocarstw.

Sukces amerykańskiego populisty niesłuchanie uradował polską prawicę, choć radość jest nieco zniuansowana i wyrażana powściągliwie. Racjonalnie, i przyznawali to także politycy PiS, trzeba było w kampanii stać przy Hillary Clinton, bo ona, a nie Trump, dawała gwarancje realistycznej, ale surowej polityki wobec Rosji, wzmocnienia NATO i wspólnoty euroatlantyckiej, była gotowa podtrzymać, dla nas krytycznie ważną, rolę przywódcy zachodniego świata. Kandydat republikanów przerażał swoją ignorancją polityczną, dezynwolturą, mętными zapowiedziami nowego resetu z Rosją, zachętami do nuklearnych zbrojeń. Racje oddawano Clinton, ale emocje prawicy były po stronie Trumpa. W prawicowych mediach i portalach uaktywniały się rodzime polityczne klisze: Trump i jego zwolennicy to alter ego Prezesa i jego partii; Obama to odchodzący Tusk, Clinton to jego Kopacz, demokraci to zepsuta, skorumpowana po 8 latach rządzenia Platforma, reprezentująca wrogie, egoistyczne i kosmopolityczne elity. A Trump pogoni waszyngtoński salon, lewactwo, gender, LGBT i miłośników różnych latynoskich czy muzułmańskich imigrantów. Ta radość z podobieństw, a więc i jakiegoś symbolicznego udziału

w sukcesie Trumpa, wciąż jeszcze przesłania ryzyko, jakim jest pojawienie się w Ameryce prezydenta populisty.

Populizmy narodowe są do siebie bardzo podobne i wobec siebie fundamentalnie wrogie. Jeśli głosi się wielkość własnego narodu, bezwzględne pierwszeństwo własnych interesów, egoizm, nieskrępowaną suwerenność, to jesteśmy wobec siebie na kursie kolizyjnym. A już amerykański geopolityczny izolacjonizm i protekcjonizm gospodarczy jest dla całego Zachodu śmiertelnie niebezpieczny. Hasło „powrotu Ameryki do domu” jest dziś dość powszechnie odczytywane jako złożona Chinom i Rosji oferta dogadania się w sprawie nowego podziału stref wpływów i interesów.

Pogardliwy stosunek Trumpa do Unii Europejskiej, wsparcie dla Brexitu, sceptycyzm i komercyjne podejście do NATO – to nie są dla Polski dobre sygnały, nawet jeśli próbuje się je przykryć rojeniami o jakimś sojuszu Nowej Ameryki z Orbánem, Kaczyńskim i kolejnymi „suwerenistami”, którzy, niesieni tą samą polityczną falą, mają teraz wygrywać europejskie wybory. Przy całej tak wydrwiwanej naiwności sojuszu euroatlantycki został zbudowany jako wspólnota wartości, instrument obrony liberalnej wizji demokracji (o czym ludziom PiS przypomniał Obama), pewnego wewnętrznego i międzynarodowego ładu. Jeśli w nowym „trumpowskim” świecie sojusze miałyby zastąpić gra narodowych interesów i potencjałów, to Polska ma dużo więcej do stracenia niż zyskania. Wyobraźmy sobie trumpowskie hasło, choćby w wersji: „Uczyńmy Niemcy znowu wielkimi”?

Odebraliśmy także bardzo gorzką lekcję nowej polityki. Hillary okazała się dowódcą armii w niegdysiejszej wojnie, toczony według starej taktyki i konwencjonalną bronią. Trump prowadził wojnę hybrydową, brudną, z jawnym lekceważeniem reguł i kampanijnych konwencji. Czy to znaczy, że w przyszłości już tak będą wyglądać polityczne i wyborcze starcia, że podstawowym uzbrojeniem rywali staną się pomówienia, oszustwa, wulgaryzmy, groźby, że przeciw chamowi będzie musiał stanąć jeszcze większy cham, a na koniec, jak w reality show, publiczność wybierze tego, kto ją bardziej podekscytował?

W tej nowej politycznej rzeczywistości programy nie byłyby już elementem społecznej wizji, ale instrumentem gromadzenia emocji, scalania zwolenników, poniżania wrogów. Politolodzy szukają formuł opisujących tę rodzącą się „postpolitykę w epoce postprawdy”. Jedną ze zgrabniejszych brzmi: kiedyś wyborcy wybierali, „left or right” (między lewicą i prawicą), teraz „right or wrong” (między dobrym i złym), bo polityka przenosi się w sferę sporów moralnych. Współczesny populizm, nakręcany przez nowe media, narzuca też starej demokracji swoje metody: obiecuj wszystko każdemu, prawdę kłamstwem zwyciężaj, dawaj fałszywe świadectwo, nie szukaj rozwiązań, ale winnych; wygraj, a potem się zobacz.

Wybór Donalda Trumpa, przy całej radości prawicy z „upokorzenia salonu i ogłupiających postępów”, to dla świata i dla Polski zła wiadomość. W sytuacji niepewności naturalnym odruchem jest podtrzymywanie nadziei, że przecież jakoś to się ułoży, że nie będzie tak źle. Na razie tylko tego można się trzymać.

Jan Koza



© JAN KOZA

11 listopada – każdy sobie



Skromny liczebnie marsz koalicji antyfaszystowskiej zatrzymał się także pod Pałacem Prezydenckim.

Uroczystości państwowe z okazji Święta Niepodległości rozpoczęły się od mszy w Świątyni Opatrzności Bożej z udziałem m.in. prezydenta, marszałków Sejmu i Senatu oraz pani premier. 11 listopada oficjalnie otworzono świątynię, o której wzniesieniu zdecydował jeszcze Sejm Czteroletni w 1791 r. Po mszy dostojnicy złożyli wieńce pod pomnikiem marszałka Józefa Piłsudskiego przy Belwederze. Pierwszy raz podczas oficjalnych państwowych obchodów na placu Piłsudskiego odczytano nazwiska ofiar katastrofy smoleńskiej, z użyciem sformułowania „w tragiczny poranek 10 kwietnia polegli pod Smoleńskiem”. Chwilę później prezydent Duda zaapelował o wspólne prace całej sceny politycznej nad przygotowaniem obchodów 100. rocznicy niepodległości, która przypada za dwa lata. Andrzej Duda zapowiedział ustawę w tej sprawie.

Narodowcy. Polska bastionem Europy – pod tym hasłem odbył się 11 listopada Marsz Niepodległości, organizowany przez środowiska narodowe. Zgromadzenie rozpoczęło się o godz. 14 w centrum stolicy. W morzu głów najwięcej było młodych mężczyzn. Podkreślali, że chcą walczyć z unijną propagandą. Skandowali: „Nie chcemy tu muzułmanów”, „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”, „A na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści”, „Młodość, wiara, nacjonalizm”.

Narodowców do marszu zagrzewał gość z Włoch – Roberto Fiore z neofaszystowskiej partii Forza Nuova. Wzywał, by Polska „poprowadziła Europę do odrodzenia”. Przez cały czas trwania marszu odpalano race i petardy. Doszło do kilku incydentów. Zamaskowani mężczyźni spalili logo Facebooka w akompaniamencie słów: „Facebook daje nam po banie za wiszący

krzyż na ścianie”. Spalono też flagę ukraińską. Na transparentach hasła: „Śmierć wrogom Ojczyzny”, „Czas Patriotów”. Marsz przeszedł mostem Poniatowskiego na błonia Stadionu Narodowego, gdzie odbyło się wielkie racowisko. Zbierano tu podpisy pod wnioskiem o referendum przeciwko przyjmowaniu do Polski uchodźców. „Co prawda rząd mówi, przynajmniej oficjalnie, że ograniczył imigrację od Polski, ale w naszym kraju przebywa milion Ukraińców, wśród których są osoby pobierające stypendia oraz środki z programu 500 plus. Jest mniejszość muzułmańska, która rośnie w siłę” – przekonywał przewodniczący Młodzieży Wszechpolskiej Bartosz Berk.

KOD Niepodległości. Ulicami Warszawy przeszedł także KOD Niepodległości – manifestacja zorganizowana przez Komitet Obrony Demokracji. „Nie ma niepodległości bez demokracji” – mówił Bronisław Komorowski do tysięcy ludzi zebranych na placu Narutowicza. Dodał, że Polska już dwukrotnie utraciła suwerenność i jako doświadczony naród powinna o tym pamiętać, zwłaszcza że – jak mówił – demokracja jest dziś nadwątlona.

Marsz wystartował w samo południe z placu Narutowicza i przeszedł na Pole Mokotowskie. Maszerujący nieśli portrety m.in. Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego. Jak refren wszyscy powtarzali, że każdy ma prawo do patriotyzmu, a siłą państwa jest jego różnorodność. W dłoniach trzymały flagi narodowe i europejskie oraz transparenty z napisami: „Niepodległość jest dla wszystkich”, „Demokracja jest w nas”, „Manifestuję, machając flagą, a nie racą”. Dwugodzinny marsz zakończyły przemówienia liderów partii opozycyjnych, m.in. Grzegorza Schetyny, Ryszarda Petru, Włodzimierza Czarza-

stego i Barbary Nowackiej. I już na koniec zagrali Big Cyc oraz Oddział Zamknięty.

Obywatele RP. Narodowcom próbowali stanąć na drodze członkowie ruchu Obywatele RP. Zorganizowali pikietę na trasie marszu. Policja odgrodziła ich od pochodu, a straż Marszu Niepodległości zasłoniła czarnymi płachtami. „Grupy wyrostków wskazują na znaki drogowe, lampy, czasami po kilku i rozciągają czarną zasłonę. Policjanci nie reagują, chodzą spokojnie tuż obok, choć straż marszu nie miała pozwolenia na rozłożenie tej płachty. Nam za to funkcjonariusze zwracają uwagę, gdy tylko ktoś śmie zejść z ostatniego schodka wyznaczającego »naszą strefę«. Dowodzący policjant krzyczy do podwładnego, żeby nagrywał to, co robimy, i notował wszystkie prowokacje z naszej strony. No to nagrywa” – relacjonował Bartek Sabela.

W stronę Obywateli RP poleciały race, petardy, butelki. „Policja nie reaguje. Wycofuje się jeszcze bardziej. (...) Nawet filmujący nas policjant już schował się za de Gaulle'em” – pisał na Facebooku Sabela. Na szczęście obyło się bez urazów. A minister Błaszczak wieczorem na specjalnej konferencji prasowej z policją ogłosił: „Chciałbym podkreślić, że uroczystości przebiegły bezpiecznie. To niewątpliwie zasługa polskiej policji”.

Antyfaszyści. Około tysiąca osób późnym popołudniem przyszło na plac Zamkowy, by zademonstrować antyfaszystowską postawę. W skład koalicji, poza partią Razem, weszło kilkanaście organizacji lewicowych, antyfaszystowskich i anarchistycznych, m.in. Warszawska Federacja Anarchistyczna, Antyfaszystowska Warszawa, kolektyw Syrena oraz fundacja Feminoteka.

Marsz pod hasłem „Za wolność naszą i waszą” przeszedł pod Zachętą. „Jesteśmy w miejscu, gdzie zamordowano prezydenta Narutowicza. Ale epoka przemocy się nie skończyła. Jesteśmy tu, bo się jej sprzeciwiamy. Nie ma pozytywnych nacjonalizmów. Wszystkie prowadzą do tragedii, jak Auschwitz, Srebrenica, Wołyń” – mówili organizatorzy. Na tym marszu na transparentach niesiono hasła: „Biała Polska tylko zimą”, „Faszyści precz z naszych ulic”, „Pokażmy język nacjonalizmowi”, „Faszyści brzytwą rządzących”, „PiS promuje faszyzm”.

Ilu was było? Szef MSWiA Mariusz Błaszczak już w piątek wieczorem ogłosił, że w marszu narodowców wzięło udział ok. 75 tys. osób, w marszu KOD – 10 tys., a w marszu antyfaszystów 900 osób. Nie powstrzymał się od politycznej złośliwości: „Kiedy muzyk Krzysztof Skiba intonował piosenkę o Kiepskich, sytuacja rzeczywiście była kiepska i słuchało go mniej niż tysiąc osób” – powiedział Błaszczak o marszu KOD. Inne dane podała wieczorem prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz: KOD – 27 tys. uczestników, Marsz Niepodległości – 60 tys. DĄB., AR



Związani łańcuszkiem

Żyjemy w czasach, w których każdego można połączyć z każdym. Specjalizuje się w tym obecna władza. PiS i usługne mu media zweryfikowały słynną hipotezę „sześciu stopni oddalenia”. I zawęziły ją do góra trzech!

Teoria „sześciu kroków” mówi o tym, że łańcuszkiem, od znajomego do znajomego, każdy z nas w sześciu ruchach może dotrzeć do każdej osoby na świecie. I tak od koleżanki z podstawówki do jej kuzynki w Ameryce i jeszcze kogoś tam po drodze uda mi się dotrzeć do Michelle Obamy i przekonać ją, żeby kandydowała na następnego prezydenta USA! A jaki uroczy będzie wtedy pierwszy gentleman! Rozmarzyłam się... Tymczasem przez najbliższe cztery lata przyjdzie nam żyć z kimś zupełnie innym.

Także w Polsce obok różnej maści „specjalistów” od genealogii i czystości narodowej pojawili się badacze prawdziwości tezy o powiązaniach, które tworzy każde kilka osób w normalnym społeczeństwie. I tak „Gazeta Polska” (której nie abonuję, a mimo to regularnie znajduję w mojej skrzynce w Parlamencie Europejskim) z zapalem pisze np. na pierwszej stronie, że ojciec przyjaciela Bronisława Komorowskiego jest odpowiedzialny za zbezczeszczenie zwłok żołnierza wyklętego. Ojciec przyjaciela to nawet nie sześć kroków – a więc mamy już znaczny stopień odpowiedzialności prezydenta Komorowskiego za czyny owego ojca przyjaciela! Nie znalazłam co prawda w „GP” informacji o stopniu przyjaźni, a to też przecież może mieć zasadnicze znaczenie w śledztwie, które zapewne wkrótce się rozpocznie.

Podobno jeszcze mniej kroków łączy rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara i członków Komitetu Praw Człowieka ONZ, którzy wystosowali list do rządu RP. Mówi się, że Bodnar i nadawcy listu kiedyś byli autorami prawniczej publikacji. Z tego można wyciągnąć dwa wnioski: albo mamy w Polsce światowego specjalistę od praw człowieka, albo ONZ jest w sitwie podejrzanych powiązań (teraz zgaduję, kochaneczku?).

Róża Rzeplińska (z nią łączy mnie co najmniej imię – i nie wiem, którą z nas to bardziej obciąża) ma tylko jeden krok do swojego ojca i jeden do organizacji pozarządowej sprawdzającej wiarygodność polityków. Jak większość organizacji społecznych, również jej Stowarzyszenie 61 (MamPrawoWiedzieć.pl) dostawało granty od Fundacji Batorego. Wystarczy jeszcze jeden krok i oto można ogłosić, że prof. Andrzej Rzepliński jest w ramionach słynnego żydowskiego spekulanta z Węgier, który w USA wspiera demokratów: lewaka Sorosa!

W podobny sposób można też „prześwietlić” poprzedniego prezesa Trybunału Konstytucyjnego Jerzego Stępnia. I oczywiście Hannę Gronkiewicz-Waltz, bo to teraz na czasie, a miasto wspiera przecież różne inicjatywy społeczne. A to dopiero początek. Wszystkich można powiązać ze wszystkimi, narysować śliczne schemaciki, jeżeli w sześciu krokach na całym świecie, to w Warszawie wystarczą trzy.

PiS korzysta z tego pełnymi garściami i za pomocą „mediów narodowych” dezawuuje lub zwyczajnie oczernia z trudem rodzące się po latach komunizmu organizacje pozarządowe oraz ludzi angażujących się w budowanie społeczeństwa obywatelskiego (czytaj s. 23). Z działaczy społecznych robić niejasną siłkę, z polityków opozycji – donosicieli i agentów, ze wszystkich, którzy nie są w PiS – zdrajców, to wdzięczne zadanie dla mojego ekskolegi z PE, który dziś jest prezesem TVP

i z pasją oddaje się misji kłamstwa. Konkrety? Proszę bardzo. „Süddeutsche Zeitung” cytowała ostatnio moją wypowiedź o Jarosławie Kaczyńskim – że „czyta Carla Schmitta, który doradzał Hitlerowi”. Wersja w telewizji Jacka Kurskiego była prostsza: „czyta propagandę nazistowską”.

To mogłoby być nawet śmieszne, gdyby nie fakt, że zniszczenia w głowach przeciętnych obywateli, które ta nienawistna propaganda wyrządza, będą trudniejsze do wyleczenia niż katastrofa ekonomiczna, która się do nas coraz szybciej zbliża. Ze szkód poczynionych przez kłamstwo i populizm bardzo trudno będzie się wygramolić. Zrozumiałam to ostatnio po mojej wizycie w Dreźnie i po krótkim pobycie na wielkiej konferencji w Lipsku. Oba miasta są we wschodnich Niemczech, oba z przeszłością enerderską. A jednak atmosfera w nich jest kompletnie różna. Inne problemy społeczne, ludzie inni. Pięknie odbudowane Drezno nie tylko nie może uporać się z kibolami – tymi samymi, którzy podczas meczu Pucharu Niemiec rzucili w kierunku bramki zakrwawioną głowę wołu – ale przede wszystkim z licznymi i agresywnymi demonstrantami atakującymi obcokrajowców: z antyislamską, rasistowską Pegidą, która narodziła się w 2014 r. właśnie w Dreźnie, i z ogolonymi na łyso narodowcami, którzy terroryzują ulice.

Lipsk natomiast – znany jako miasto kultury i sztuki – dumny jest ze swojej znakomitej i nowoczesnej Wyższej Szkoły Grafiki i Fotografii. W teatrze widziałam śmiałe i przejmujące połączenie Ajschylosa z Elfriede Jelinek – o szukaniu schronienia w obcym kraju, o poniżeniu, odwadze, prawie i moralności. Sala była nabitą – i podobno tak jest zawsze. „Jak to możliwe, że na przestrzeni 100 km, z autostradą i szybkim pociągami, macie dwa miasta tak bardzo różne?” – pytałam zdumiona. „Nie wiesz? Przecież to sławetna Dolina Nieświadomych, Tal der Ahnungslosen”. Przez lata komunizmu i żelaznej kurtyny wszyscy wieczorami oglądali telewizję RFN, ale do Drezna położonego w dolinie Łaby przy zboczu Zachodnich Sudetów sygnał nie docierał. Byli więc karmieni tym, na co zezwalała partia komunistyczna. Minęło 27 lat, a różnice nadal są bardzo wyraźne.

Czy tak będzie i u nas? Są tacy, którzy żyją w zasięgu wyłącznie mediów narodowych albo tylko po takowe sięgają. My czytamy i oglądamy coś całkiem innego. W mediach społecznościowych trudno o poważną rozmowę z osobami o odmiennych poglądach, bo zaraz wcinają się jakieś trolle, hejtują, a my ich blokujemy. Chodzimy na inne demonstracje i nawet do innych kościołów. Płaszcz, gdzie można się spotkać, jest coraz mniej i nawet nie mamy już na te spotkania ochoty. Polaka-Europejczyka od Polaka-narodowca dzieli więcej niż sześć kroków.

Róża Thun – absolwentka filologii angielskiej, w PRL zaangażowana w działalność opozycji demokratycznej. W III RP działała w organizacjach pozarządowych – przede wszystkim na rzecz integracji europejskiej. Była związana z Unią Demokratyczną, następnie z Unią Wolności. W latach 2005–09 pełniła funkcję dyrektora Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce. Od dwóch kadencji z ramienia PO zasiada w europarlamencie.

Biali z miasteczka pierwszej damy



towała), ojciec miał na parkingu sklepik z częściami samochodowymi. W Sevnicy zapamiętano, że była miła i miała talent do robienia na drutach; na studia wyjechała do Ljublany, a przy pierwszej okazji przysnęła do Mediolanu, po linii mody. I tak się zaczęło – aż w 2005 r. została panią Trump. Teraz będzie drugą po Angielce Louise Adams – i po 187 latach – pierwszą pierwszą damą urodzoną za granicą i pierwszą, dla której angielski nie jest językiem ojczystym. Bywały tu już za to byłe modelki, Betty Ford i Pat Nixon (choć Melania jakoś je przebija, bo pozowała nago). Podobnie jak mąż była w kampanii odpychana przez establishment republikanów, a splagiowane z Michelle Obamy wstawki w jej przemówieniu naraziły ją na kpiny. Teraz będzie się mogła odukuć.

Sevnica jest rzecz jasna w Melanię zapatrzona, wywiesiła amerykańskie flagi i nowy miejscowy deser nazwała jej imieniem. Miasteczko liczy, że teraz przyciągnie turystów, co bardzo by się przydało, bo zasiedlają je głównie sfrustrowani biali, mający kłopoty z pracą, tęskniący za lepszymi czasami, które już były (można powiedzieć: miejscowy odpowiednik trzonu elektoratu Trumpa). Może problemy rozwiązałoby pole golfowe, zastanawiają się w Sevnicy – po starej znajomości, panie prezydencie Trump?

W pięcioletniej Sevnicy, słoweńskim miasteczku nad rzeką Sawą, urodziła się 46 lat temu, jeszcze za Jugosławii, przyszła pierwsza dama Ameryki. Nazywała się **Melania Knavs**, mieszkała z rodzicami w blokach, gdzie osadzano okolicznych rolników; mama pracowała w fabryce odzieżowej Jutranka (która już za Słowenii zbankru-

Bułgaria i Mołdawia czerwienieją

Byli dowódca sił powietrznych Rumen Radew, generał w stanie spoczynku i kandydat Bułgarskiej Partii Socjalistycznej, będzie nowym prezydentem Bułgarii. Ten wybór już wywołał kryzys polityczny w kraju. Lider rządzącej centroprawicowej partii GERB i premier Bojko Borysow, w związku z przegraną Cecki Caczewej, która była kandydatką centroprawicy, złożył dymisję gabinetu, a urzędujący prezydent zapowiedział możliwość powołania rządu tymczasowego. GERB nie chciał uczestniczyć we władzy po wygranej socjalistów.

Centroprawica jest największą siłą polityczną w parlamencie, ale nie ma przewagi, a koalicję i rząd Borysowa powołano w bólach. Głosy oddane na Radewa to protest przeciw rządzącej partii, której Bułgarzy zarzucają arogancję i autorytaryzm. Borysowowi zaszkodziły zwłaszcza potajemne kontakty i wsparcie dla prezydenta Erdoğan, któremu wydawał azylantów – rzekomych zwolenników i uczestników lipcowego puczu w Turcji. Bułgarów nie przekonało tłumaczenie, że krajowi grozi zalew migrantów. Nie spodobało im się też, że wystawiona przez rząd kandydatka w przeszłości była aktywistką partii komunistycznej.

Teraz socjaliści będą zapewne zmierzać do przedterminowych wyborów, by umocnić swą pozycję. Prezydent elekt Rumen Radew nie ma doświadczenia politycznego, ma natomiast opinię zwolennika wpływów Rosji, które dotychczas Bułgaria starała się ograniczać. Poparła też unijne sankcje wobec Kremla. Ale czy zgłasza się przedłużeniem? To oznaczałoby, że Moskwa mocniej postawi stopę na Bałkanach oraz w regionie Morza Czarnego, kompletnie uzależniając Sofię od swoich surowców energetycznych.

Umocnienie Kremla w regionie jest groźne dla starającej się o członkostwo w UE Serbii oraz dla Czarnogóry, świeżo przyjętej do NATO, gdzie Rosja próbuje siły swych wpływów. Zwłaszcza że również w Mołdawii w drugiej turze wyborów prezydenckich zwyciężył kandydat mocno prorosyjski: Igor Dodon, szef mołdawskiej partii socjalistycznej (PSRM) i b. minister gospodarki. Jest przeciwnikiem rządzących elit oraz proeuropejskiego kursu i zapowiedział, że pierwszą wizytę jako prezydent złoży w Moskwie.

Indie w kolejce po własne pieniądze

Władze Indii bez uprzedzenia wycofały z obiegu dwa popularne banknoty – 500 i 1000 rupii.

Można je wymieniać w bankach na inne nominały do 30 grudnia. W zamian wprowadzone zostaną nowe – 500 i 2000 Rs, ale potrwa to kilka tygodni. Premier Narendra Modi planował ten ruch w sekrecie. Chce ukrócić używanie podrobionych pieniędzy, łapówkarstwo i nieopodatkowane transakcje szarej strefy. Na razie udało mu się wywołać panikę i zablokować handel oraz usługi, które nad Gangesem w większości wciąż opierają się na obrocie gotówką. Dwa unieważnione banknoty stanowią łącznie aż 85 proc. znajdującej się w obiegu gotówki, zakaz ich używania skomplikował życie milionom ludzi. Nie mogą kupić jedzenia, paliwa, leków.

Wielu Hindusów nie ma kont, nie może więc dołączyć do wielogodzinnych kolejek do bankomatów wypłacających limit 4000 Rs dziennie na osobę. Ci, którzy chcą wymienić gotówkę w bankach, muszą udowodnić, że pochodzi ona z legalnego źródła. Drobnymi przedsiębiorcami, sprzedawcami nieposiadającymi dowodów tożsamości (Indie są w trakcie tworzenia dokumentów biometrycznych), boją się, że wycofywane banknoty zostaną im odebrane. Minister finansów uspokaja, że sprawdzana będzie legalność tylko dużych kwot. W kłopotcie są miliony Hindusek, które w tajemnicy przed mężami oszczędzały na naukę i posagi dla dzieci. Teraz musiały wyjąć pieniądze ze skrytek i stanąć w kolejkach. Największym przegranym będzie branża weselna. Zaczyna się sezon przyjęć, za które płaci się w gotówce. Ceremonie już przekładane są na później. Miłość musi poczekać.





Co się stało?

Donald Trump nie ma kwalifikacji na prezydenta USA – tak uważa dwie trzecie Amerykanów. To dlaczego na niego głosowali? Bo gniew i pragnienie zmiany są silniejsze niż strach przed ignorantem w Białym Domu.

ANDRZEJ LUBOWSKI

Po raz kolejny nic niewarte okazały się sondaże i prognozy. Setki skomplikowanych modeli komputerowych dawały Clinton w dzień wyborów co najmniej 3 punkty proc. przewagi. Dwie przyczyny tej wpadki są oczywiste: po pierwsze część ankietowanych wstydziła się swych preferencji, więc kłamała; po drugie sondaże nie odzwierciedlały w pełni entuzjazmu elektoratu Donalda Trumpa.

Dwa tygodnie przed wyborami Michael Moore, ten od filmów dokumentalnych „Zabawy z bronią” i „Fahrenheit 9.11”, w e-mailu zatytułowanym „Hillary Clinton (Nigdy nie myślałem, że na nią zagłosuję)”, rozesłanym do progresywnych aktywistów z ruchu MoveOn, pisał o dyscyplinie i determinacji zwolenników Trumpa, aby zrewanżować się systemowi, który ich zawiódł; o tym, że widział w Ohio i Michigan, jak tryskający energią aktywiści Trumpa ruszają o 5 rano w teren. Ostrzegał zwolenników Hillary przed nadmiernym optymizmem, upatrując zagrożenia w niedostatecznej frekwencji – mówił, że zwolennicy lewicowego



Berniego Sandersa mogą się nie pojawić, bo dla wielu z nich Hillary pachnie jak Wall Street, a Afroamerykanie i Latynosi mają kłopoty z rejestracją na listach wyborczych.

Powtarzane w nieskończoność wieści o 90-proc. prawdopodobieństwie zwycięstwa uspiły czujność sztabu demokratów. W wywiadzie radiowym w dniu głosowania Hillary żartowała na temat tego, jakim tytułem powinien się posługiwać Bill Clinton, gdy para wprowadzi się ponownie do Białego Domu. Optymistycznie sondaże tak zaostrzyły apetyt jej sztabu wyborczego, że ten dostrzegł szansę, aby zgarnąć całą pulę: utrzymać Białą Dom i odzyskać obie izby Kongresu.

Do zdobycia prezydentury potrzeba było wygrać w Wisconsin, Michigan i Pensylwanii. Wydawało się, że te trzy stany Hillary ma „jak w banku” – Barack Obama wygrał w nich w 2012 r. z przewagą niemal miliona głosów. Na wszelki wypadek do Pensylwanii polecieli Michelle Obama, Bruce Springsteen, Jon Bon Jovi i Lady Gaga. To miało załatwić sprawę. Wszystkie siły – ludzi i pieniądze – sztab Hillary rzucił na Ohio, Florydę i Północną Karolinę, trzy stany, które do zwycięstwa nie były potrzebne. Clinton wszystkie te trzy stany przegrała. Gdyby wygrała te „bankowe” – we wszystkich trzech bezrobocie od poprzednich wyborów mocno spadło – Hillary byłaby pierwszą w historii kobietą prezydentem USA.

Demokraci przegrali Wisconsin, Michigan i Pensylwanię nieznacznie, bo w sumie o niespełna 107 tys. głosów, czyli 0,77 proc. oddanych w tych stanach (notabene w tych trzech stanach mieszka ponad 1,5 mln Amerykanów polskiego pochodzenia; w samym Wisconsin jest 16 miast i miasteczek, gdzie ponad 30 proc. ludności ma polskie korzenie). W ten sposób Trumpowi nieoczekiwanie udało się przełamać tak zwany „niebieski mur” w miejscu, które uważano za najbardziej nie odporne. Demokraci przegrali tam na własne życzenie.

Wybór i reelekcja Baracka Obamy zdawały się zwiastować narodziny demograficznej koalicji mniejszości rasowych, młodzieży i rosnącego bloku białych wyborców wspierających demokratów. Mówiono, że ta koalicja stanie się głównym nurtem elektoratu XXI w. Zwycięstwo Trumpa zafundowało tej teorii zimny prysznic. O zwycięstwie hałaśliwego Donalda przesądził głos ludzi starszych, głównie białych.

Biali to wciąż 70 proc. elektoratu. Wśród nich Trump wygrał 58 do 37. Lecz gdy zajrzeć głębiej w demograficzny profil wyborców, okaże się, że do Białego Domu wprowadzi go biały proletariot. Wśród białych bez dyplomu wyższej uczelni jego przewaga była ogromna – 67 do 28. Najsurowszą chłostę demokraci odebrali w kilku stanach tak zwanego pasa rdzy (rdzewieją tam głównie hale produkcyjne po ucieczce przemysłu), w których wygrali regularnie od 1988 r. Dlatego dziś o tych wyborcach mówi się „demokraci Trumpa”. Jednak cios ostateczny i najmniej spodziewany zadały Hillary kobiety.

Demokraci liczyli na wielką falę poparcia ze strony kobiet, zwłaszcza po ujawnieniu taśmy o „chwytaniu za cipkę”. Ta fala nigdy nie nadeszła. Choć wśród ogółu kobiet Hillary wygrała w stosunku 54 do 42, to przeszło połowa białych pań wybrała Trumpa. Poparło go 4 proc. Afroamerykanek i co czwarta Latynoska. Wśród białych kobiet bez wyższego wykształcenia Trump wygrał z Clinton o niemal 30 punktów proc.! Czy seksizm Trumpa tej grupy kobiet nie razi, bo na co dzień go doświadczają, więc do niego przywykły? Czy niechęć do Hillary Clinton jest silniejsza niż zniesmaczenie manierami samca alfy?

Wiele z kobiet głosowało na Trumpa z tych samych powodów co mężczyźni: z przekonania, że Ameryka wjechała na zły tor i tylko Donald może ją stamtąd zawrócić. Tam gdzie przeciwnicy Trumpa widzieli hochsztaplera, seryjnego bankruta i oszusta podatkowego, jego wyborcy woleli widzieć twórcę imperium nie-

ruchomości, który co najwyżej wykorzystał luki prawne. Panie dostrzegły w nim cechy lidera, których u Hillary nie widziały. Nie tylko one zresztą.

Mimo ogromu zastrzeżeń do prawdziwości Hillary Clinton wyborcy w sumie uznali ją za bardziej wiarygodną. Nie mieli też wątpliwości, że bije Donalda na głowę, gdy idzie o doświadczenie. Ale ważniejsza dla nich była wiara w to, że Trump mocniej potrząśnie systemem i dokona zmian, których oczekują. Silne wsparcie mniejszości rasowych, milenialsów i kobiet z wyższym wykształceniem nie wystarczyło Hillary, aby zrekompensować straty poniesione wśród reszty elektoratu.

Trump zmobilizował tych, których nie opuszcza nostalgia za czasem minionym i których dręczą zmiany w Ameryce.

Za Hillary opowiedzieli się ci, którzy te zmiany witają bez obaw, uznając niektóre za korzystne, a inne – zwłaszcza te ekonomiczne – za nieuchronne. Swe ekonomiczne przesłanie Trump skroił dla tych, którym globalizacja zabrała dobrze płatną pracę. Obiecał, że ta praca wróci tam, skąd emigrowała, a na import z Chin i Meksyku nałoży wysokie cła.

Gdy Ronald Reagan wprowadzał się do Białego Domu, 20 mln Amerykanów pracowało w przemyśle, wielu było członkami związków zawodowych. Dzisiaj w przemyśle, który płaci lepiej niż usługi, pracuje tylko 12 mln i tylko co jedenasty jest w związkach. Wzrosła rola kobiet, umocniły się mniejszości rasowe i seksualne. Kiedyś mężczyzna bez dyplomu pracował za dobre pieniądze na taśmie montażowej, w hucie czy kopalni. Mógł z góry patrzeć na kobietę, czarnego, Latynosa, geja. Dziś o to trudniej – jest biedniejszy i wkurzony. Trump to wykorzystał.

Na tle innych amerykańska gospodarka jest okazem zdrowia. Wyrzębła się szybciej niż Europa z głębokiego tapnięcia po katastroficznych latach 2008–09, bezrobocie spada, średni dochód rośnie, choć w przeliczeniu na rodzinę to wciąż mniej niż 10 lat temu i, jak zawsze, za uśrednionym optymizmem kryją się ogromne i coraz głębsze różnice. Rośnie udział mężczyzn w wieku 25–54, którzy ani nie pracują, ani nie szukają pracy, bo stracili wiarę, że mogą ją znaleźć. To ich rozgoryczenie bardzo pomogło Trumpowi.

Amerykanie zawsze tolerowali olbrzymie różnice majątkowe w przekonaniu, że wszystko jest OK, bo istnieje drabina, po której można się wspinać. Katastrofa finansowa w 2008 r. i fakt, że jej architektom włos z głowy nie spadł, a oni za nią słono zapłacili, uzmysłowiła im, że drabinę ktoś zwinął. Kiedyś raj klasy średniej, Ameryka już przeszło ćwierć wieku temu takim rajem być przestała. Trochę czasu minęło, zanim ludzie sobie to uświadomili.

Część wyborców Trumpa bezskutecznie wypatruje ścieżki do tego raju. Czują się odcięci od możliwości awansu i kompletnie zapomnieni przez Waszyngton. Trump im tej ścieżki wprawdzie nie pokazał, ale obiecał, że ich tam poprowadzi. Nie odsłonił ścieżki do rozwiązania jakiegokolwiek problemu, a problemów jest bez liku. Zresztą bez końca powtarzał, że kraj jest w ruinie: gospodarka się wali, armia i policja są słabe, terroryści bezkarni, wszyscy oszukują USA i tylko on wie, co z tym bałaganem zrobić.

Obietnice, że wszystko naprawi, wystarczyły mu do zwycięstwa. Będzie znów tak dobrze, mówił, że samemu trudno mu w to uwierzyć. A oni mu uwierzyli. Amerykański showman, podobnie jak nasz Kukiz, tak naprawdę nie miał żadnego planu. I żadnemu z nich to nie zaszkodziło. Bo dla ich elektoratu liczą się tylko dwa pytania: dlaczego nie jest tak dobrze, jak być powinno, i kogo w związku z tym trzeba kopnąć w zadek. Recepta, jaką wypisali obaj, brzmi z grubsza tak samo: „Najpierw, kurde, zrobmy burdel. Potem, kurde, się zobaczy” (Wojciech Młynarski).

